

„LICZY SIĘ TEMAT”  
praca konkursowa  
kategoria I – tematyka społeczna

**„KOCIE ANIOŁY”**

*autor: Katarzyna Grzeźczyńska*

*uczennica I klasy  
IV Liceum Ogólnokształcącego  
im. Jana Pawła II  
w Łukowie*

*opiekun: Renata Zdanikowska*

# Kocie anioły

*„Z miłości do zwierząt rodzi się zrozumienie dla ich cierpień”*

*Powyższe słowa, wypowiedziane przez lekarza weterynarii, są mottem każdej kobiety dokarmiającej koty. Niestety, w mediach nie znajdziemy o nich wielu wzmianek. O Kociarach rozmawiają tylko lokalne plotkary. Często je wyśmiewają i obrzucają obelgami. A jednak codziennie ratują małe, puszyste istnienia..*

Przypadkowi przechodnie zapytani o kociary, często nie wiedzą o kim mowa: „Kociary? A co to takiego?”. Jeśli nawet wcześniej zetknęli się z kobietami karmiącymi koty, oceniają je dość sceptycznie: „Dobrze, że pomagają zwierzętom, ale nie chciałbym mieć takiej kobiety u siebie na klatce”. Poproszeni o podanie powodu, odpowiadają: „Nie chcę smrodu na klatce i kocich odchodów w piwnicy. Poza tym słyszałem, że koty przyciągają szczury”. Inni, odnoszą się do zjawiska dokarmiania kotów bardzo negatywnie: „Za nic w świecie nie życzyłbym sobie takiej osoby w otoczeniu mojego domu!” Twierdzą, że koty śmierdzą i roznoszą choroby. Rzadko jednak otwarcie przyznają się, że zwyczajnie nie lubią tych zwierząt. Czasem zdarza się słyszeć pozytywne opinie na temat pomocy bezdomnym zwierzętom – te jednak są niezwykle rzadko spotykane. Część ankietowanych odnosi się przychylnie do kociar: „To bardzo miło z ich strony, że pomagają tym biednym zwierzętom”, „Znam taką jedną panią, to bardzo miła osoba. Poza tym zrobiła wiele dobrego dla kotów. Dla wielu z nich znalazła mieszkanie.” Szkoda, że ludzi życzliwych Kociarom jest tak niewielu.

Mieszkańcy miast - zabiegani, pochłonięci swoimi codziennymi sprawami, nie zauważają, że codziennie koło nich rozgrywa się walka o kocie życie. Dla nich kociary po prostu nie istnieją. Przecież nie pisze się o nich w gazetach, nie mówi w telewizji. Działają bowiem nielegalnie. Wydana niedawno uchwała wyraźnie zakazuje dokarmiania bezdomnych zwierząt. Zrzuca obowiązek zapobiegania bezdomności na lokalny samorząd. Tylko że urząd, z braku pieniędzy lub chęci, nie wywiązuje się z powinności. Kociary więc, pod osłoną nocy, skradając się jak złodziejki kontynuują swój dobroczynny proceder. Utrata dobrej opinii wśród sąsiadów, wyzwiska i obelgi to jednak ich najmniejszy problem. Są zaskarżane do Urzędu Miasta, straszone, czasem nawet ryzykują życiem. Często wydają więcej pieniędzy na karmę dla zwierząt niż własne jedzenie. Najbardziej wszakże boją się o to, by nikt nie skrzywdził ich kotów. Jeśli miarą człowieka jest to, jak odnosi się do słabszych od siebie, to kociary zasługują na najwyższe noty. Nikt nie zna cierpień i bolączek zwierząt tak dobrze, jak one.

## Uciekinierka i spółka

Małe miasto, niewielkie osiedle punktowców. Niemal wszyscy się tu znają. Gospodynie często zapraszają się na kawę, a gdy jest ciepło, siedzą wieczorami na ławeczkach. Pani Krysia mieszka tu wraz z mężem od bardzo dawna. Od szesnastu lat nie pracuje, by opiekować się matką. Od dwunastu – dokarmia koty.

-W domu mam trzy koty: Pulkę, Kruszyńkę i Czarnunię. Tego ostatniego znalazłam w piwnicy. Strasznie płakał. Z początku myślałam, że to wróbel, ale potem okazało się, że to kotek. Malutki był jak piąstka. Przyniosłam do domu i został. Potem dołączyła do nas Pulka. Kiedy ją zaniósłam do mieszkania, spytałam męża „Co zrobić z tym kotkiem?”, a on na to „Puść go po mieszkaniu”. Były już dwa. Kruszyńka siedziała na klatce u mamusi. Na początku myślałam, że ma właściciela, ale kiedy przebywała tam już trzeci dzień, wzięłam ją do domu. Po prostu nie mogłam wyrzucić takiej piękności. Mąż na początku się trochę zdenerwował, ale w końcu dał się przekonać.

Oprócz kotów domowych mam jeszcze te podwórkowe. Teraz są tylko trzy: Bura, Uciekinierka i Fikołek, bo jak mnie widzi to skacze mi na ręce. Czasem przychodzi też na jedzenie kotek sąsiada, ale on jada oddzielnie bo moje koty się z nim nie dogadują. Kiedyś było ich znacznie więcej. Potrafiło i dziesięć przyjść. Nie potrafię nawet zliczyć wszystkich, które się tu przewinęły. Niektórym znalazłam dom, ale dla innych nie zdażyłam. Koty przychodzą znikąd, ale kiedy raz dostaną jeść, to przeważnie zostają na dłużej.

Jedzenie wynoszę codziennie wieczorem, tak koło 22, kiedy mało ludzi chodzi, bo nie chcę, żeby uważali mnie za nienormalną. Że jak nie mam dzieci, to dokarmiam koty. Są już tak nauczone, że gdy zbliża się pora karmienia, to czają się pod samochodami wokół bloku. Kiedy wyjdę i „zacziam” - biegają do mnie i głośno miauczą. Uciekinierka czeka na mnie pod samymi drzwiami i tańczy pod nogami tak, że nie mogę przejść. Przeważnie daję im mleko lub śmietankę i suchą karmę. W dzień kotki pałętają się po osiedlu, a kiedy jest zimno, ukrywają się w jakiejś piwnicy.

Dawniej dawałam kotom jeść pod balkonem, bo tak mi było wygodniej, ale teraz przeniosłam się we wnękę przy drzwiach, żeby nie widziała mnie sąsiadka z góry, której nie podoba się to, co robię. Nie chce, żebym dokarmiła kotki, bo, jak twierdzi, boi się psów, które dojadają resztki po kotach. Tyle, że ja teraz żadnych resztek nie zostawiam. Zabieram stamtąd wszystkie naczynka jak tylko koty skończą jeść. Jeśli są jakieś resztki, to zanoszę je pod śmietnik, do innych pojemniczków. Kiedyś owszem, zostawiałam miseczki pod blokiem, bo często kociaki nie zjadały wszystkiego, a mnie szkoda było wyrzucać. To ta Zołza, za każdym razem, jak zobaczyła naczynka – wywalala je. Poskarżyłam się wtedy jej mężowi. Kiedy zwrócił jej uwagę, to widząc mnie na ulicy, pukała się w czoło.

Mimo iż nie zostawiam już miseczek, ta kobieta dalej nie może znieść mojej „działalności”. Doszło do tego, że gdy stałam pod balkonem, a ona była wtedy w domu, to z jej balkonu leciały na mnie różne rzeczy. Raz była to woda z ziemią, że niby kwiatki podlewała i tak niechcący... Innym razem były to ziemniaki lub jabłka. Wysypywała też

na mnie ziemię. Miarka przebrała się jednak kiedy zrzuciła z góry worek wypełniony wodą. Narobił takiego trzasku, że porządnie się wystraszyłam. Dobrze, że spadł obok, bo mógłby mnie zabić. Nie wiem czy chciała trafić w moją głowę, czy tylko nastraszyć, ale czy nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi? Mój mąż bardzo się zdenerwował i wezwał policję. Ta jednak powiedziała, że po godzinie dziesiątej nie może do tej pani pójść i poradziła załatwić sprawę z dzielnicowym.

Następnym razem karmiłam koty dalej od balkonu, kiedy nagle usłyszałam głośny szum. Okazało się, że Zołza znowu zrzuciła wodną bombę, tylko, że tym razem worek zatrzymał się na drzewie przed blokiem. Siatkę przedziurawiły gałęzie, woda wyciekała i stąd ten szum. Znow miałam szczęście, ale zadzwoniłam do dzielnicowego. Ten obiecał porozmawiać z sąsiadką, ale zamiast mi pomóc – przyznał jej rację. Powiedział mi, że nie powinnam karmić kotów pod blokiem. Radził przenieść się pod garaże, albo na górkę za osiedlem. Ale ja nie mam zamiaru po nocy chodzić pod garaże. Dlatego chowam się we wnęce – tam przynajmniej mnie nie widzi.

Cały czas mnie przezywają, ale nie przejmuję się tym. Uważam, że to nawet miłe być Kociarą - przecież to nie złodziejka. Dawniej młodzi chłopcy często za mną miauczeli, a ja się śmiałam „O, następny kot. Chodź, dam ci kiti-keta.” Teraz chłopcy dorośli i przestali miauczeć.

Moje podwórkowe koty są pod stałą opieką weterynarza. Zaprzyjaźniona pani doktor daje nam za darmo tabletki od robaków i antykoncepcję dla Burej. Uciekiniarka nawet jest wysterylizowana. Swoje imię dostała właśnie po tym wydarzeniu, gdyż zbiegła z gabinetu po operacji. Wydostała się z sali przez okno i wróciła do domu. W tym czasie szukałam jej ja, pani weterynarz, a nawet znajomi. Po dwóch dniach, koło północy, kiedy wracałam do domu, z głośnym miauczeniem podbiegł do mnie kot. Nie wierzyłam własnym oczom. To była ona. Na brzuchu miała założone szwy. Szybko zadzwoniłam do pani doktor, żeby już jej nie szukała. Od tamtej pory nazywam ją Uciekiniarką.

Nie dokarmiam jedynie kotów pod blokiem. Często też zostawiam jedzenie cementarnym kociakom. Pod kontenerem na śmieci, żeby nikt nie zauważył. Kiedy mój mąż jeździ na wieś, pakuję mu pożywienie dla tamtejszych kotków. Często są to sucha karma, mleko, kluski lub ziemniaki, bo one nie są wybredne.

Nie mogłabym przestać dokarmiać kotów. Czekająby na mnie pod blokiem całą noc. Zawsze noszę przy sobie nieco suchej karmy, śmietankę i mały pojemniczek. Tak na wszelki wypadek. Kiedy spotkam jakiegoś biednego kotka, od razu mogę go nakarmić i dać mu pić.

### **Piwniczna kontra Misia**

Długi blok na osiedlu budowanym za czasów Gierka. Wąska klatka schodowa. Jedno z tysięcy podobnych do siebie mieszkań. Czy na pewno? To jednak różni się od pozostałych. Tu mieszka pani Janina z rodziną. Wszyscy dokarmiają koty.

- To będzie już ze trzy lata jak dokarmiam koty. Robię to po kryjomu z mężem, sąsiadką i naszym panem „Klatkowym”, który dba tu o czystość. Nie chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział. Nie chodzi o mnie. Ja jestem człowiekiem, a człowiek sobie zawsze poradzi. Martwię się o koty, że jakby się ludzie dowiedzieli o tym, co robię, to by je zamęczyli.

Dwa lata temu dokarmialiśmy ponad dziesięć kotów. Było ciężko. Na szczęście przy pomocy dobrej pani weterynarz znaleźliśmy dom dla większości z nich. Weterynarz wysterylizowała je za darmo, bo na takie koty jest więcej chętnych. Potem ja po jednym brałam do domu i oswajałam je, by przygotować je do adopcji. To były przeważnie młode kotki. Na szczęście wszystkie trafiły w dobre ręce. „Za nogami” często dawałam nowym właścicielom trochę karmy, żeby kot dobrze się chował. Teraz mam pod opieką jedną kotkę - „Piwniczną”, jak ją nazywamy z sąsiadką, bo mieszka w naszej klatce w piwnicy.

Pod śmietnik przychodzi też codziennie cztery lub pięć kotów. W domu również mam zwierzęta: psa – Fida i kotkę o imieniu Misia. Miśkę wzięliśmy z ulicy, kiedy była jeszcze bardzo malutka. Ktoś ją wyrzucił, a ona nie umiała nawet samodzielnie pić. Teraz jest panią domu i rozstawia Fida po kątach. Najbardziej lubi leżeć na kanapie z moją córką lub mężem.

Kociaki dostają jeść dwa razy dziennie. Przeważnie kupuję im mięsne kielbasy „Raffi” lub ziarenka – suche lub mokre w saszetkach, przeważnie „whiskas’a”, „kiti – ket’a”, „friskasa”. Mieszam im lepszą karmę z tą tańszą, żeby potem nie wybrzydzały, ale i tak przeważnie wyjadają tę droższą. Sąsiad wynosi im gotowaną kaszę i wodę, tylko w zimie jest z tym problem, bo wszystko zamarza. Najpierw rano szykuję im jedzenie, a mąż wynosi je razem ze śmieciami, by ludzie się nie domyślili. Zawsze wsuwa miseczki delikatnie pod kontener. Wtedy wie, kiedy zje to kot, a kiedy pies – koty zawsze wślizgują się pod śmietnik, a psy wysuwają miski na zewnątrz. Potem zanosimy jedzenie około dwudziestej drugiej, kiedy jest już ciemno i nikt nas nie widzi. Koty już nauczyły się, kiedy mogą przychodzić i zawsze czekają na nas w porze karmienia.

Ludzie różnie reagowali na to, co robię. Część bardzo negatywnie. Jak zobaczyli wystawione pojemniczki to wylewali wodę, albo wyrzucali jedzenie. Najgorzej, jeśli wtedy był upał. Nie wiem dlaczego ludziom to przeszkadza. Przecież to nie wina kota, że chce mu się pić. Często straszili zwierzęta, rzucali w nie kamieniami, albo wyganiali z piwnicy. Najgorsze było jednak to, że je truli. Tak, dosypywali im nitrytu do jedzenia lub wody. A kot jak głodny, to zje wszystko. Nie potrafi rozpoznać trucizny. Zawsze bardzo przeżywałam każdą śmierć. Zresztą, nie tylko ja. Mój mąż i pan Klatkowy tak samo. Bo człowiek się jednak przywiązuje do stworzenia. Niektórzy naprawdę prześladują koty. Piwniczna do tej pory ucieka przed niektórymi sąsiadami gdzie pieprz rośnie.

Sąsiedzi skarżyli się na mnie do Urzędu Miasta. Czasami przestawali się do mnie odzywać. Przeżywali „Kocią matką”. Jeden sąsiad wykrzyczał mi: „Psy i koty powinny być na Paluchu!” Odpowiedziałam mu, że zwierzęta też czują, ale do niego to niestety nie dociera. Kiedy zauważyli koty w piwnicy, to straszili mnie Sanepidem. Trochę się wtedy przestraszyłam. Ale przecież tam gdzie są koty, nie ma szczurów. Poza tym kociaki, którymi

się opiekowałam i opiekuję się regularnie odrobaczane i odpchlone. Piwniczna jest po zabiegu sterylizacji. Ja nie przejmuję się obelgami i Urzędem Miasta. Boję się tylko, że jeśli ktoś się dowie o mojej działalności, to będzie prześladował koty.

Niektórzy ludzie udają, że nie ma problemu, bo im to nie przeszkadza. Jednak spotkałam się też z pozytywnymi przejawami. Kiedy mówili: „Dobrze, że dajesz im jeść, że chcesz im pomagać, że masz w sobie tyle miłości i cierpliwości,” robiło mi się ciepło na sercu. Czasami też dostawałam pieniądze na mleko dla małych kotków.

Najgorsza dla kotów jest zima. Ludzie zamykają piwnice, a na zewnątrz zwierzęta marzną. Zamarza też woda i jedzenie. Staram się wpuszczać koty do piwnicy chociaż na noc, ale muszę wstawać o piątej rano, żeby je wypuścić na dwór, żeby nikt ich nie usłyszał. I biedne muszą czekać cały dzień na mrozie. Serce mi się kraje, kiedy pomyślę o tym, że te koty nie mogą sobie poradzić, nie mają się gdzie podziać.

Raz znalazłam potwornie pobitą kotkę. Była posiniaczona, miała plamy krwi na sierści. Wzięłam ją do piwnicy i z pomocą pani weterynarz przywróciłyśmy ją do zdrowia. Pomagała mi wtedy jeszcze jedna sąsiadka. Potem ta pobita kotka się okociła. To dopiero był problem -rozdąć te wszystkie maluchy. Na szczęście znalazłyśmy dla nich dobre rodziny. Z niektórymi do tej pory utrzymuję kontakt. Wszyscy są bardzo zadowoleni z kotków. Pobitą mamę oddałam w dobre ręce. Jest teraz u takiego starszego pana, który się do niej bardzo przywiązał.

Kiedy przyszła do nas Piwniczna bardzo się bałam, żeby jej nie otruto. Bo ona jest bardzo ładna. Biała w wyraźnie ograniczone łaty. Najpiękniejsze są jednak jej duże oczy. Na początku była bardzo nieufna. Do tej pory tak jest. Nie ma mowy, żeby do kogoś podeszła, jeśli go nie zna. Boi się głośnych rozmów i krzyku. Bardzo mi na niej zależało. Powiedziałam „ Nawet jeśli miałabym ją wziąć do domu, to nie dam jej zniszczyć.” Starłam się, żeby wychodziła ode mnie dobrze najedzona. Żeby nie skusiła się na żadną „doprawioną” karmę od złych sąsiadów. Pan Klatkowy wyciął nawet dla niej dziurę w drzwiach swojej suszarni, żeby miała gdzie uciec. Teraz to jej azyl. Zawsze może się tam schronić. Ma tam jedzenie i wodę, a także miejsce do spania. Piwniczna wytepiła wszystkie szczury w naszej piwnicy. Ostatnio coraz częściej śpi u nas w domu lub u sąsiadki, która też ją bardzo lubi. Na regale ma ustawiony swój koszyk. Przeważnie kiedy do nie go wchodzi, od razu zaczyna toaletę. Dopiero jak się wyczyści – idzie spać. Nasza Misia to egoistka. Broni swojego terytorium. Na początku nie chciała zaakceptować Piwnicznej. Urządzały walki „Piwniczna kontra Misia” na pazury, zęby, z warczeniem i „phyczeniem” na siebie. W końcu jednak zaczęły się tolerować. Nauczyłam kotkę z piwnicy załatwiania się na dworze. Teraz nie robi ani w piwnicy ani w domu. Kiedy śpi u nas, daje mi nad ranem znak, żeby ją wypuścić, drapiąc w drzwi. Za to, kiedy wychodzę na spacer, ona idzie za mną jak pies. Piwniczna to taki mój mały dowód na to, że jeśli poświęci się kotu wystarczająco dużo ciepła, miłości i cierpliwości, to ten odwdzięczy nam się wielokrotnie. To bardzo ciepłe zwierzę. Potrafi przyjść do mnie, wskoczyć mi na kolana, łąsić się albo ze mną spać.

Największą satysfakcję daje mi poczucie, że pomogłam niewinnemu zwierzęciu. Wielką radość sprawia mi patrzenie na najedzone koty. Jeśli dodatkowo mogę te koty czegoś nauczyć lub oddać do adopcji, czuję się spełniona. Kociaki są małe i bezbronne. Jeśli im nie pomożemy, same sobie nie poradzą. Teraz staram się nie przywiązywać tak bardzo do dokarmianych zwierząt, ponieważ za dużo bólu sprawiało mi patrzenie na codzienne cierpienie kotów. Byłabym szczęśliwa, gdyby ludzie nie wyrzucali ich na ulicę. Gdyby mimo wszystko starali się znaleźć im dom, a nie „pozbywali się kłopotu”.

Nie chcę, żeby ktokolwiek dowiedział się o mojej działalności. Boję się, że wtedy ludzie będą podrzucać mi nowe koty. Zresztą nie o mnie tu chodzi, tylko o nie. Jeśli wyda się, że dokarmiam koty, ludzie będą je prześladować. A tego nie chciałabym najbardziej na świecie.

### **Zuza goni Zgreda**

Pani Teresa jest mieszkanką kolejnego blokowiska, na którym pełno jest bezdomnych kotów. Większość ludzi zdaje się nie zauważać zwierząt. Może trzeba być bardziej wrażliwym, żeby je dostrzec. Może po prostu trzeba wiedzieć, gdzie szukać.

- W ogóle zaczęłam bardziej zwracać uwagę na koty dopiero po tym, jak pojawiła się u mnie Zuza. To było jakieś dwa lata temu. Zobaczyłam ją siedzącą na klatce schodowej pod dziecięcym wózkiem. To moja sąsiadka ją znalazła, ale ona nie ma warunków, żeby trzymać kota. Na początku chciałam znaleźć dla niej rodzinę, bo często wyjeżdżam i nie miałabym jej z kim zostawić. Z pomocą przyszła do mnie pani weterynarz. Zaproponowała, że na czas mojej nieobecności będzie brała kotkę do siebie. I tak Zuza jest u mnie i ma się dobrze. Została wysterylizowana, a ostatnio pani doktor kazała przejść jej na dietę. Ponoć Zuzka miała nadwagę. Musiałyśmy zrezygnować z kocich przysmaków i zmienić karmę na dietetyczną. Kotka za nią nie przepada, ale faktem jest, że odkąd ją zjada, straciła na wadze.

Nie mam ścisłych pór karmienia kotów. Przeważnie wysypuję jedzenie wieczorem, kiedy już wrócę od mojej ciotki. Rankiem, gdy idę do pracy, jedzenia zazwyczaj już nie ma. Przygotowuję im suchą karmę, kupowaną na kilogramy lub saszetki. Czasem kupię kurze serca lub żołądki, przydają się, kiedy trzeba koty odrobaczyć. Tabletki są bardzo gorzkie, a jeśli ukryję je w „kurzęcych” serduszkach, koty się nie zorientują. Jedzenie wysypuję na gazety lub styropianowe tacki i kładę w zależności od pogody: na trawniku pod krzakami, kiedy jest bardzo ciepło, koło śmietnika lub pod balkonem, jeśli pada. Niestety nie jestem w stanie sprawdzić co dokładnie zjada wyłożony pokarm. Nie wiem czy są to koty, czy psy.

Nie wiem, ile naprawdę jest kotów na osiedlu. W ciągu dnia biegają między blokami, ale ja jestem w pracy. Poza tym są one zbyt płochliwe, żeby podejść nawet w porze karmienia. Kiedyś była tu jedna kotka z małymi: dwoma czarnymi, jednym łaciatym, jednym jasnym i dwoma przegowanymi. Siedziała z nimi pod drzewami, w kupkach skoszonej trawy.

Przyprowadzała je do mnie na jedzenie, ale potem kotki podrosły i się rozbiegły. Wykładałam im jedzonko na gazety.

Około półtora roku temu bawił na osiedlu duży pręgowany kocur. W zimie siedział u mnie na klatce schodowej. Dopóki było zimno, większość ludzi nie wyganiała go na dwór, chociaż czasem sprawiał kłopoty. Potrafił narobić na klatce lub w piwnicy. Sypiał na mojej wycieracze i o czwartej rano budził mnie miauczeniem domagając się śniadania. Nazwałam go Zgred. Parę razy był u mnie w domu, ale nigdy nie chciał zostawać na dłużej. Kiedy zrobiło się ciepłej, wynosiłam mu jedzenie na zewnątrz. Lubił wygrzewać się na trawniku w południe. Kiedyś przyniósł w zębach małego kociaka. Nie wiem, może to było jego dziecko i chciał mi się pochwalić. W końcu pani weterynarz znalazła dla niego rodzinę. Mieli oni dom z ogródkiem, więc dla kota lubiącego swobodę to dobre warunki. Musiałam go wtedy złapać i przetrzymać parę dni w domu. Zuza go trochę ganiała, aż w końcu schował się w jej koszyku, bo miał już dość. Myślałam, że pęknie mi serce, kiedy musiałam oddać Zgreda. Czułam się też trochę podle. Bo może on miał tu swoje życie, swoje sprawy, a ja w imię jego dobra zabrałam go stąd. Bardzo bał się jazdy samochodem, strasznie wiercił się w koszyku. Chciał zwiać, ale mu się nie udało. Na szczęście zadomowił się już u nowej rodziny. Chyba mu tam dobrze.

Odkryłam na cmentarzu cztery koty: dwie kotki z małymi. Teraz za każdym razem, gdy idę na cmentarz, niosę ze sobą trochę karmy. Wysypuję im jedzenie pod ławeczką lub obok kontenera na śmieci. Cmentarne kociaki są jeszcze bardziej nieufne niż te na osiedlu. Podchodzą do miseczek dopiero, gdy ja jestem bardzo daleko.

Osobiście nie doświadczyłam nieprzyjemności ze strony ludzi. Ich reakcje były wręcz pozytywne. Ludzie czasem udostępniają własne piwnice dla kotów. Kiedy były u nas koty na klatce, to ustaliłyśmy z sąsiadkami kolejkę karmienia, bo każda chciała pomóc. Ustaliłyśmy też kolejność sprzątania po kotach i niewielką składkę na karmę i zwirek. Raz, gdy wyjeżdżałam sąsiadka zapewniła mnie: „Niech się pani, pani Tereso nie martwi. Podczas pani nieobecności to ja będę dokarmiać koty.” Było to bardzo miłe. Oprócz nas, jest jeszcze na osiedlu parę pań, które wnoszą jedzenie dla zwierzaków. Nie muszę ich znać, ale i tak czuję z nimi pewną solidarność. Uważam, że kociary powinny się nawzajem wspierać. Wtedy byłoby nam o wiele łatwiej. Sama jedna kobieta nic nie zdziała nawet w Urzędzie Miasta, ale jeśli się zbierze ich więcej, to może coś wskórają w sprawie tych biednych zwierząt. Poza tym takie słabe staruszki są często zastraszane przez sąsiadów. Dobrze byłoby, żeby miały sojuszniczki, które mogłyby je wspierać w trudnych chwilach oraz dzielić się doświadczeniami. Bo dla kociary oprócz pomagania „własnym” kotom, najprzyjemniejsze jest słuchanie o tym, co inni zrobili dla tych zwierząt.

Wiem, że zabroniono dokarmiania kotów, ale co mam zrobić? Przecież nie pozwolę, żeby chodziły głodne. Urząd Miasta, jeśli nie chce Kociar i bezdomnych zwierząt, niech wybuduje porządne schronisko. Takie naprawdę nowoczesne, aby koty i psy miały tam dobre warunki. I niech wywiązuje się z obietnic. Miał zapobiegać bezdomności przez wyłapywanie i sterylizację zwierząt, a nie robi nic.

Myślę, że gdyby koty umiały mówić, powiedziałyby co im się przydarzyło, co ich boli. Może nawet wypowiedziałyby się na temat nowej uchwały Urzędu Miasta. Nie posiadają jednak tego daru i to my ludzie musimy dbać o to, by im było dobrze. Staram się pomagać kociakom, jak tylko mogę. Jestem spokojna, mając świadomość, że kotki nie poszły spać głodne. Martwię się tylko, kiedy jest zimno i pada deszcz. Wtedy nie zawsze koty znajdują w porę schronienie.

### **Pani Weterynarz**

Wszystkie opisane wyżej osoby mają w mniejszym lub większym stopniu kontakt z tą samą panią weterynarz. Jest ona postacią dość niezwykłą. Wkłada wiele serca i poświęcenia w swoją pracę i pomaganie innym „po godzinach”. Odrobacza, „odpchła” i sterylizuje za darmo bezdomne zwierzęta. Znajomi i właściciele pacjentów mówią o niej: „Skarb, nie kobieta”. Dlaczego to robi? Co jej daje?

- Kocham zwierzęta, jestem ich przyjacielem. Nie wyobrażam sobie bez nich życia. Poza tym jestem lekarzem, ratowanie zwierząt to mój obowiązek. Nie mogę odmówić pomocy żadnemu stworzeniu. Jakim byłabym wtedy człowiekiem? W życiu staram się kierować mottem „Z miłości do zwierząt wyrasta zrozumienie dla ich cierpienia”. Myślę, że powinniśmy się wyczulić na potrzeby i cierpienia tych małych stworzeń, które nieraz kochają nas z całego swojego serca. Miarą człowieka jest to, jak odnosi się do słabszych od siebie. Pamiętam o tym, idąc każdego dnia do pracy.

Znam bardzo dużo osób dokarmiających zwierzęta i chętnie je wspieram. Spotykam je od początku mojej działalności. Są to różne osoby. Przeważnie ludzie starsi, mający więcej czasu dla zwierząt, czasem samotni. Nierzadko jednak są to ludzie, mający na głowie dom, pracę, rodzinę i jeszcze znajdują czas na pomaganie słabszym. Zetknęłam się również z tym zjawiskiem wśród młodzieży, chociaż jest to rzadkość. Bywa, że bardziej studenci angażują się w tego typu sprawy. Przede wszystkim jednak poświęcają się ludzie dobrzy, wrażliwi na cudzą krzywdę, umiejący dostrzec potrzebujących. Posiadają dar empatii, który przejawia się nie tylko w kontaktach ze zwierzętami, ale też innymi ludźmi.

Cieszy mnie ogromnie, jeśli znajdzie się grupa ludzi gotowych pomóc bezbronnemu zwierzęciu. Miałam kiedyś pacjenta – kota, który przybłąkał się do jednej z restauracji. Miał pokiereszowaną łapkę i był trochę „zabiedzony”. W jego leczenie zaangażowali się wszyscy pracownicy. Ustalili sobie dyżury i przywozili kociaka do gabinetu przy okazji rozwożenia pizzy. Za każdym razem była to inna osoba. Wyleczonego kota wzięł potem jeden z nich do domu.

Z mojej strony oferuję kotom głównie pomoc medyczną. Za darmo odrobaczam, „odpchląm” i leczę chore kotki. Szczególnie zimą sporo bezdomnych kotów łapie różne infekcje i mogą zostać wyleczone tylko, jeśli dadzą się złapać. Staram się zapobiegać bezdomności zwierząt poprzez przeprowadzanie zabiegów sterylizacji. Najwięcej takich

operacji przeprowadzamy w sezonie wiosennym i jesienno-zimowym, kiedy koty podchodzą bliżej ludzi. Zwierzaki ukrywają się wtedy w piwnicach i łatwiej je złapać. Jeśli mam taką możliwość to skupuję od hurtowni karmę z promocji i rozdaję osobom dokarmiającym. Uważam, że stać mnie na to, żeby pomóc potrzebującym „braciom najmniejszym”.

Razem z „kociarami” staramy się rozdawać zwierzęta dobrym ludziom. Obdzwaniam wtedy wszystkich moich znajomych, a także pytam właścicieli pacjentów przychodzących do gabinetu. Mogę się pochwalić tym, że każdy bezdomny kot, który trafił do mojego gabinetu, znalazł rodzinę adopcyjną.

Staram się być dostępna dla pacjentów przez całą dobę. Niektóre koty przychodzą na karmienie dopiero późnym wieczorem i tylko wtedy można je złapać. Jeśli już uda mi się częściowo uspić takiego kociaka w piwnicy, pod śmietnikiem lub w domu jego „opiekunki”, przynoszę go do gabinetu i tam dokończam znieczulenie, a następnie przeprowadzam operację. Na noc kot łąduje u swojej kociary lub w moim mieszkaniu. Takim kotom przeważnie daję długo działające zastrzyki przeciwbólowe i antybiotyki, na wypadek, gdyby gdzieś zwiały. Szwy zakładam wchłanianymi nićmi, by oszczędzić kotom stresu związanego z ich wyciąganiem.

Zdarza się, że ludzie podrzucają mi koty do gabinetu. Przeważnie w godzinach wieczornych lub nocą, kiedy klientów jest mało. Takie kocię zostawione w poczekalni zaraz zaczyna miauczeć wniebogłosy. Biorę wtedy takiego malucha do domu, albo zostawiam na noc w gabinecie i rano przychodzę go nakarmić. Oczywiście od razu szukam mu domu. Zazwyczaj w przeciągu trzech dni kotek trafia do nowej rodziny. Czasem przechowuję u siebie koty nieco dłużej, jeśli są chore i wymagają leczenia stacjonarnego.

Uważam, że w dzisiejszych czasach brakuje nam nieco otwarcia się na drugą istotę i chęci dostrzeżenia jej potrzeb. Lubię odnosić się do poezji księdza Twardowskiego. On w każdym tomiku poezji wspominał o zwierzętach. Pojawiały się u niego wróble i wszelkie inne ptaki. Doceniał je jako dzieło Boże. Pisał o ich mądrości, delikatności. Każdy ptak, każde zwierzę ma w sobie coś takiego delikatnego, nieuchwytnego, kruchego, trzeba to tylko umieć i chcieć dostrzec. Zawsze szukam tego u moich pacjentów. Staram się to w nich zobaczyć, pod maską strachu i zdenerwowania. Wtedy łatwiej jest mi zrozumieć to, co czują.

Ze wszystkich sił staram się jak najlepiej pomagać zwierzętom, które spotkam na swej drodze. Kiedy jest mi ciężko, przypominam sobie cytaty „*Kiedy ostatnia godzina przyjdzie na człowieka, to na progu tego drugiego wszechświata będą na nie go czekały te wszystkie zwierzęta, dla których był dobry. Będą swym zwyczajem machać ogonami i wpatrywać się w boskie oblicze, a w ich spojrzeńiach będzie zawarta niema prośba:*

- *Panie Boże, my wiemy, że to grzesznik. Nie bądź zbyt surowy – on był dla nas dobry.*” Jeśli te zwierzęta, którym pomogę, faktycznie wstawią się za mnie u Boga, a wierzę, że tak będzie, to uważam, że warto się dla nich starać. Prawdą jest stwierdzenie, że nikt nie potrafi się tak odwdzięczyć za okazaną dobroć, jak właśnie zwierzęta. Swoim ciepłem, miłością i bezgranicznym zaufaniem do właściciela.

Dlatego między innymi tak bardzo kocham wszystkie zwierzęta i chcę im pomagać. Bez miłości do zwierząt byłabym innym lekarzem, niepełnym. Być może nie byłabym wtedy w stanie tak wiele dla nich poświęcić. Nie chciałoby mi się zostawać po godzinach, biegać po osiedlach za psami i kotami, wydzwaniać do właścicieli, żeby im przypomnieć o zbliżającym się szczepieniu. Sam święty Paweł powiedział „*Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się ja miedź brzęcząca albo cymbał brząający.*” To ona jest w życiu najważniejsza, a w szczególności zaś miłość do słabszych istot, które są od nas w pełni zależne.

## Cywilizacja?

Kociary nie mają łatwego życia. Niejeden człowiek zniechęciłby się, spotykając na swej drodze tyle trudności co one. Nieraz wydaje się, jakby cały świat był przeciwko nim. Muszą walczyć z własnymi słabościami, niezyczliwymi sąsiadami, którzy nie tylko sprawiają przykrość im, ale również wyzywają się na niewinnych kotach. Władze lokalne również nie ułatwiają życia „kocim matkom”, wydając zakazy dokarmiania, czy nie refundując zabiegów sterylizacji. Kobieta taka zdana jest praktycznie na siebie i łaskę, bądź niełaskę weterynarza i zyczliwych ludzi.

Wydawałoby się, że w dwudziestym pierwszym wieku instytucja kociar nie powinna być potrzebna. Nasza cywilizacja stoi na bardzo wysokim poziomie. Mieszkamy w pięknych domach, mamy bieżącą wodę, centralne ogrzewanie nierzadko telewizor, czy komputer. Dla własnej przyjemności trzymamy w domach najróżniejsze zwierzęta, często sprowadzane z dalekich krajów, których utrzymanie kosztuje nas majątek. Dlaczego więc ludzie tak ochoczo pozbywają się kotów, wyrzucając je na ulice? Przecież, gdyby nie to, „kocie matki” nie miałyby racji bytu.

Odpowiedź chyba zna każdy z nas. Oglądając wiadomości i widząc codziennie tyle okrucieństwa, owijamy się powoli, lecz szczerze kokonem obojętności. Wraz z rozwojem cywilizacji, zatracamy stopniowo naszą wrażliwość na drugą istotę. Przepaść między nami wydaje się być tak wielka, że zaczynamy traktować zwierzęta wręcz przedmiotowo. A przecież one też mają uczucia. Mogą kochać swego pana tak mocno, że pomimo wszystko. Odczuwają ból, gdy są chore i strach przed wizytą u weterynarza. Zdarzają im się lepsze i gorsze dni, tak jak nam – ludziom. Zwierzę takie jak pies czy kot różni się od człowieka tylko paroma genami. To nie jest dużo. Dla niektórych jednak wystarczająco, by uważać zwierzęta za gorsze od człowieka, niezasługujące na miłość czy współczucie.

Kociary są jednym z wyjątków, który przeciwstawia się prądowi obojętności. To kobiety działające na przekór wszystkiemu i wszystkim. Wręcz heroiczne w swej walce o każdą mniejszą istotę. Posiadające wielkie serca wypełnione miłością, ciepłem oraz cierpliwością dla innego stworzenia. Przy tym wszystkim, niezauważane przez resztę świata. Uważane za nieco pomyłone. Ile razy słyszeliśmy opinię o niepozornej staruszce „Ona ma kota w głowie”? Co wtedy myśleliśmy?

Czysta niesprawiedliwość? Nie, to tylko życie. Chociaż może następnym razem przechodząc przez osiedle rozejrzemy się uważniej i zobaczymy jakiegoś kota chowającego się pod samochodem, albo przemykającego gdzieś chyłkiem. Może, wyrzucając śmieci dostrzeżemy wystawione pojemniczki z karmą. Nie zobaczymy natomiast kociary, o nie. Na nią trzeba by się zacząć wieczorem, bo jest tak samo ostrożna jak koty, które dokarmia. Musi być. Od tego zależy byt jej podopiecznych.

Katarzyna Grzeźczyńska